

Wojciech Kruszewski: „Hymny do nocy” Novalisa. Trzy pytania i żadnej odpowiedzi

Novalis nie dał nam w Hymnach do nocy żadnej definitywnej odpowiedzi. Raczej doprowadził nas swoimi słowami (i w swoich słowach) na skraj pewnej tajemnicy, wskazał nam ją (gest podobny to Mickiewiczowskiego „Tam!” z Sonetów krymskich) i pozwolił nam dalej iść samotnie – pisze Wojciech Kruszewski w

Trzy pytania, o których mowa w podtytule, odnalazłem trochę przypadkowo. Nie tak sobie na początku zaplanowałem lekturę *Hymnów*. Moim najgłębszym przekonaniem jest jednak, że właśnie po to istnieje poezja: nie, żeby dać odpowiedź, ale żeby sprawić, że sami zaczniemy pytać. Poezja to sztuka zadawania pytań, a więc też sztuka wytrącania nas z zadufanej pewności, że wiemy coś o świecie, o życiu, o samej poezji, o sobie nawet. Nie jest więc to żaden defekt, przeciwnie, to najzupełniej satysfakcjonujące. Gdyby oprócz wspomnianej diagnozy, że nie udało się odnaleźć odpowiedzi, nie było niczego innego, wtedy tak, wtedy zgoda: klęska. Są jednak te trzy pytania. Aż trzy.

Pierwsze z tych pytań dotyczy okoliczności powstania *Hymnów*. Chyba trudniej jest o tym nie wiedzieć niż wiedzieć, pozwolę sobie jednak przypomnieć podstawowe informacje. Wszyscy komentatorzy *Hymnów* wiążą je z doświadczeniem miłości Georga Philippa Friedricha barona von Hardenberga (Novalisa) do Sophie (właściwie Christiane

Wilhelmine Sophie von Kühn). W roku 1794, gdy się poznali, Friedrich miał 22 lata, ona była 10 lat młodsza. Zaręczyli się w marcu rok później. Bulwersujące? Cóż, dzienniczek Zosi (nie wiem, dlaczego większość polskich komentatorów nazywa ją Sophie) dostarcza raczej powodu do innych odczuć. Pojawia się w nim cała seria wpisów: „Dzisiaj Hartenberch odwiedził znowu nic się nie wydarzyło” (tak, brak przecinka). Zosia zapisuje jedno pod drugim: nuda, zupełnie nic się nie wydarzyło; ten człowiek, o którym pisze pod nazwiskiem, na dodatek zniekształconym, po prostu jest i tyle. Natomiast on bawił się świetnie. Napisał dla żartu zapowiedź ślubu i dwa ogłoszenia do prasy. W jednym szukał służby do ich domu, w drugim zwracał się o pomoc w odnalezieniu skrzyni z ubrankami ich dzieci. W tych infantylnych wygłupach towarzyszyli mu zresztą najbliżsi. W listopadzie 1795 dziewczynka zachorowała, a 15 marca 1797 zmarła. Dwa miesiące później Novalis zaczyna prowadzić dziennik, w którym rejestruje swoją dziwną żalobę. Wśród tych zapisków dziennikowych znajduje się notka z 13 czerwca, zawierająca wieczorną wizję przy grobie Zosi. Novalis doświadcza bliskości ukochanej, wręcz jej fizycznej obecności obok siebie; Zosia zjawiała się przy nim odczuwalnie, namacalnie. W zapadającym mroku doświadcza, że śmierć nie jest końcem. Zdaniem wielu, zapis ten stanowi podstawę, bodziec dla tego, co znamy z trzeciej części Hymnów. W opinii innych w tym fragmencie dziennika żaloby widać raczej znamiona wyraźnej konstrukcji literackiej niż impulsywnego raportu z rzeczywistości. Nie wszyscy badacze tej twórczości decydują się narysować tę prostą linię między wizją z czerwca 1797 a mającym miejsce ponad 2 lata później procesem pisania, który zaowocował pierwszą wersją interesującego nas cyklu poetyckiego. Niby dlaczego minęły aż dwa lata? Czemu nie wcześniej? Może kluczowe dla Hymnów jest nie to, co się wydarzyło na cmentarzu, ale proces duchowy, który się dokonał później i tak charakterystyczny dla literatury proces mitologizacji? Może zbyt dużą wagę przywiążujemy tu do bodźca. Jest w tym podejściu ziarno prawdy, które

trudno mi zlekceważyć. Sprowadzanie *Hymnów* do reakcji na biograficzny bodziec, redukowanie ich do historycznego wymiaru nijak nie pomaga nam tego zdumiewającego dzieła zrozumieć.

Przeczytaj również: Wśród wielu tajemnic błękitnego kwiatu Novalisa najważniejsza dotyczy słowa

I to jest to pierwsze pytanie. Czy w ogóle potrzebujemy Zosi? Ale też można to pytanie postawić inaczej: a może o niej po prostu zapomnieć? Literatura europejska zna dość przykładów choćby postaci literackich, które wprawdzie miały swoje rzeczywiste odpowiedniki, ale niezupełnie są nam potrzebne. Panna von Kühn, po prostu wpisana w edycje tej poezji w komentarzach, byłaby kimś jak Beatrycze Dantego czy Laura Petrarcki. Niby wszyscy wiemy, że to realne osoby, ale raczej do niczego nam ta wiedza w lekturze nie jest potrzebna. Mnie jednak to anielskie, znudzone dziecko uwiera. Czytam eteryczne wersy *Hymnów*, próbuję się wmyśleć w ich świat, ale ostatecznie moja myśl zawsze ląduje na dobrze znanym portrecie autorstwa nieznanego autora: delikatna, zbyt dorosła jak na te 12 lat. Tak naprawdę jest to więc inne pytanie: czy jesteśmy skazani na takie życiowe lekcje ciemności?

Drugie pytanie może się wydać natury nieco akademickiej, ale sądzę, że ma ono zupełnie fundamentalne znaczenie. Novalis ukończył pisanie *Hymnów* w grudniu 1799 roku, prawdopodobnie około Bożego Narodzenia. A w druku wyszły już w lutym 1800 na łamach „Atheneum”. Czas krótki, ale pisarsko na pewno bardzo intensywny. Jest przecież zasadnicza różnica między tą znaną nam wersją rękopiśmienną a wersją drukowaną, różnica bez wątplenia okupiona ciężką pracą. Oba te przekazy wyznaczają początek i kres procesu twórczego, którego przebieg można by opisać (szkicując rzecz grubą

kreską): od poezji do prozy. Ściśle mówiąc, zarówno w pierwszej, jak i w drugiej redakcji są passusy prozatorskie i wierszowane. Jednak manuskrypt jest w przeważającej mierze zapisany wierszem, podczas gdy w druku znaczna część passusów została zmieniona i podana światu do czytania jako proza. Miałem przed oczami przede wszystkim tłumaczenie Andrzeja Lama i nie da się nie zauważyć, porównując obie redakcje, że różnica polega niejednokrotnie wyłącznie na układzie graficznym. Są to te same słowa.

„Teologia Polityczna Co Tydzień” ukazuje się dzięki hojności Darczyńców.

Dziękujemy za wsparcie. Trwa zbiórka na wydania w 2026 roku

Spodziewałbym się dokładnie odwrotnego przebiegu tego procesu. Biorąc pod uwagę, że zasady spajające poszczególne słowa i zdania w prozę są jednak mniej rygorystyczne niż reguły mowy wiązanej, można przecież oczekiwać, że poeta będzie destylował materię poetycką z jakiegoś rozkurzu notatek. Tu jest odwrotnie; droga prowadzi (z grubsza – powtarzam) od prozy do wiersza. Oczywiście, proza Novalisa jest też poezją, nie jest jednak wierszem. Co więcej – nie jest pieśnią, a przecież tytułowe hymny to wyraźna aluzja do protestanckiej tradycji religijnej muzyki. Tradycja ta, konkretniej, tradycja pietystyczna, jest dla Novalisa, autora Pieśni duchownych, szczególnie istotna. No więc jak to – hymny prozą?

Dziwna, niespodziewana dla mnie metoda pracy pisarskiej. I to pytanie: dlaczego? Czego doświadczył poeta, który zdecydował się przełamać ciało wiersza, sprofanować je w ciele prozy? Czy domagało się tego jego doświadczenie (jak zasygnalizowałem powyżej – chyba raczej nie biograficzne, chyba innej natury, choć czy można o tym wyrokować na

pewno...)? A może nie doświadczenie, a natura prawd, które stały się jego własnością? Przykład ten zdaje się przekonywać, że pisanie poezji jest drogą dochodzenia do tej prawdy, a nie drogą oblekania posiadanej prawdy w słowo, „recytowania jej” tylko. Poeta złowił w poezji i prawdę, i jej wysłowienie. Ale po co mu była proza? Tego naprawdę nie rozumiem.

I trzecie pytanie, pytanie o wiarygodność poety jako rewelatora wspomnianych prawd. Czy artysta wie, co nam objawia? Czy on to w pełni kontroluje? Na wątpliwość tę naprowadziła mnie pewna właściwość polszczyzny, która mogła jednak być dla tłumaczy kłopotem (jednym z wielu zapewne), gdy przyszło do przekładania Novalisa. Noc, o której pisał Novalis, to królestwo snu. Ale jakiego snu? Snu bez marzeń sennych czy snu okraszonego śnieniem? *Schlaf* czy *Traum*? A do tego nasz poeta używa jeszcze choćby *Schlummer* – (chyba) drzemka. W najważniejszym miejscu w cyklu, w jego zakończeniu – jest *Traum*, a więc mowa o marzeniu sennym:

Już nas darzy sen swobodą
I nas kładzie w Ojca łono.

Ale Novalis wyraźnie przenosi w *Hymnach* ciężar na podobny do śmierci stan snu bez marzeń – *Schlaf*. I są to miejsca bardzo nośne interpretacyjnie, jak choćby tu:

Wieczne jest trwanie snu. Święty śnie – zbyt rzadko uszczęśliwiasz
wyznawców nocy w tym ziemskim codziennym trudzie.

I dalej nazywa Novalis taki sen bez śnienia milczącym posłańcem nieskończonych tajemnic. Posłańcem, którego przesłaniu trudno się oprzeć, jak choćby w tym fragmencie:

[...] ktokolwiek stanął wysoko na granicznej górze świata i spojrzał na nowy kraj po drugiej stronie, na siedzibę nocy – zaiste, ten nie wróci do zamętu świata, do kraju, gdzie światło przebywa w wiecznym niepokoju. Wysoko buduje sobie chaty, chaty pokoju, tęskni i kocha, patrzy na drugą stronę, aż ta najbardziej pożądana ze wszystkich chwil pociągnie go w dół, do źródlanej krynicy. (cz. 4)

Przeczytaj również: Nie jesteśmy jeszcze nawet na tropie. Novalis, czyli wszystko

Pomyślmy, chwytając się słów Novalisa: dlaczego to właśnie wtedy, gdy śpię jak kamień (nic mi się nie śni) miałbym dotykać jakichś szczególnych tajemnic? Zasypiam i budzę się, a pomiędzy tymi dwoma stanami jest coś, musi być, ale przecież nie wiem, co. Nie doświadczam niczego. Albo inaczej (język się tu łamie): doświadczam niczego. Chętnie wyjaśnia się tę właściwość *Hymnów* jako fascynację śmiercią. Moim zdaniem, chodzi jednak o coś innego. Królestwo nocy, królestwo snu bez marzeń sennych to stan radykalnie odległy od otwierającej ten cykl wizji falującego, pełnego kolorów, ożywionego światłem uniwersum z pierwszych zdań *Hymnów*. Tu nie ma światła, a więc brak w zasadzie jakichkolwiek form, jakiegokolwiek zróżnicowania, jest po prostu czysta, jednolita, nieruchoma potencja. Podmiot roztapia się w niej, ale nie powiedziałbym, że umiera. Takie myślenie doprowadza poetę na skraj języka, jak tu: „jestem Twój i Mój!”.

Czym są w istocie tajemnice snu bez marzeń? Czego one dotyczą? Jednak to trzecie pytanie, do którego się zobowiązałem w tytule, dotyczy czegoś innego. Novalis nie dał nam w *Hymnach do nocy* żadnej definitywnej odpowiedzi. Raczej doprowadził nas swoimi słowami (i w swoich słowach) na skraj pewnej tajemnicy, wskazał nam ją (gest podobny to Mickiewiczowskiego „Tam!” z *Sonetów krymskich*) i pozwolił nam dalej iść samotnie. Jednak wskazał kierunek. Są tacy, jak Maryla Falk, którzy za tym poszli i doszli w ciekawe miejsca. Tak więc moje pytanie brzmi: czy wierzyć w poetyckie epifanie? Skłonny jestem przyznać rację tym, którzy uznają, że do prawdy, jeśli jej naprawdę chcemy, prowadzi wyłącznie objawienie, że nie da się do niej dotrzeć o siłach rozumu. No dobrze, ale czy wierzyć poetom? Czy wierzyć Novalisowi, który mozolnie przedzierał się przez swoje tragiczne życiowe doświadczenie? Z trudem, w zasadzie już umierając (choć o tym prawdopodobnie nie wiedział), macerował materię poetycką, przelewając ją w te dziwne formy o rozluźnionych więzach, zaklinał prawdę w słowa. Może to wszystko tylko język, jego inercja? Może to tylko konwencja, wymagania rytmiki niemieckiej, jej asonanse i konsonanse, które sprawiają, że raz jest Schlaf, raz jest Traum, a cała reszta od nas pochodzi?

Trzy pytania, żadnej odpowiedzi. Ale może właśnie to jest dowód na wiarygodność poety: że nie odpowiedział. Każdy, kto naprawdę stanął na tej granicznej górze, wie, że stamtąd się nie mówi. Stamtąd się tylko wskazuje kierunek.

Wojciech Kruszewski

Ilustracja: autor nieznany, *Christiane Wilhelmine Sophie von Kühn*